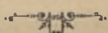
Nr. 14. (dodatkowy). Lwów dnia 11. Kwietnia 1883. Rok VI.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Obrazki caryzmu.



Pamiętniki

J. GORDONA.

(Ciąg dalszy)

W karczmie — odpowiedziałem. Nie pragnąłem wjeżdżać do miasta, bo miast unikać postanowiłem.

Stanął zatem, zlazł z kozła, ja wygramoliłem się z korzucha i błota, poszedłem za jego przykładem; wstąpiliśmy do karczmy, on coś długo na stronie szeptał znowu z gospodarzami, poczem wetknąłem mu kilka złotówek na pożegnanie. Mnie więc zostawia, a sam rusza dalej.

Później dowiedziałem się, że poczciwa gosposia, moja protektorka, w której mieszkaniu dobry byt dawał się postrzegać, jej kmotr woźnica, i nowe postacie, które teraz napotkałem, byli to wszystko kontrabandziści.

Popadłem więc przypadkowo pomiędzy ludek trudniący się przemycaniem towarów z wolnego miasta Brodów; ludek, który jak wiadomo, po wszystkie czasy stanowi pewną oppozycję przeciwko wszelkim policjom.

Ale nie w głowie były mi wówczas uwagi nad ekonomją polityczną. Obliczam, że plan mój doszedł w części do skutku, atoli tylko w części; że moi ex-towarzysze podróży znajdowali się w Dubnie, gdy ja o siedm mil dalej — nad granicą austrjacką; lecz jeszcze nie za granicą. Przepłynąłem w poprzek bystrego potoku, byle tylko na brzegu nie utonąć. Oj! dopiero by się też moskale cieszyli, gdyby mię teraz pojmali.

VIII.

Dziewczyna kontrabandzistka.

U mołodycy włos długi, rozum krótki. ale serce tęgie!

Nowymi aktorami, których spotkałem na scenie życia, był karczmarz, chuda, niepoczesna postać, jego godna połowica, jego siostra wdowa, i ich wychowanica, usługująca wszystkim wspólnie i każdemu z osobna.

Siedząc przed ogniskiem i przesuszając przemokłe suknie, wdałem się z dziewczyną w rozmowę, aby wydobyć od niej niektóre wiadomości, mogące mi posłużyć do przebycia granicy. Dziwny zbieg okoliczności! Nie wiedząc, że jestem między kontrabandzistami, wziąłem na siebie rolę przemycarza, lubo nie z rzemiosła, by snadniej dostać się do Galicji. Otóż powiadam im, że przybyłem dla kupna niektórych drobiazgów z Brodów, ale że nieświadomy miejscowości, chciałbym, żeby mię tam kto doprowadził, za nagrodą, tegoż samego wieczora, i zakupione sprawunki za mną przyniósł nazajutrz.

Karczmarz słuchał wprawdzie, pokaszlując, przemowy, lecz słuchając uśmiechał się dwuznacznie w milczeniu, jakby chciał powiedzieć: „Nie zdurisz aptekara szajdwaserom!“ Nie uszło to mojej uwagi, ale nie uszło także i to, że czerwony nos jegomości zdradza pociąg jego do kieliszków. Gdyby go też troszkę bardziej rozpłomienić, możeby i język się rozwiązał, tem więcej, że napomknął mi zaraz za przybyciem, że ma doskonałą, przewoźnią wiśniówkę. A więc, w trudnym razie, użyjmy ludzkich namiętności, kiedy nie możem inaczej:

„Dobądź-no owej zachwalonej wiśniówki panie arendarzu! Zdrowie waszeci! zdrowie jejmości i całego towarzystwa!“ Zrobiwszy początek, częstuję szczodrze wszystkich.

Zauważyłem, że płeć niewieścia wylewała ukradkowo ofiarowany jej napitek w szklanki, rada z odbytu jaki arendzie robiłem, lecz z zadowoleniem postrzegłem, że pan gospodarz nie był tyle skrupulatny, wychylał kubek za kubkiem, obiecując mię sam przeprowadzić do Brodów.

Ufny jego słowu, grzałem się spokojnie, i czekając aż się jajecznica dosmaży na węglach, siedziałem pochylony przed kominem, gdy nagle żandarm zjawił się do karczmy. Na widok tego nieoczekiwanego gościa musiałem zbladnąć; serce zaczęło mi bić i niespokojnie czekałem co dalej będzie, gdy sprytna dziewczyna usiadłszy przy mnie, jak gdyby obok swego starego znajomego, chichocąc dla odwrócenia pozorów: „Nie bój się pan, szepnęła, on przyszedł z granicy, napije się gorzałki i pójdzie do czorta.“

Jak powiedziała, tak się i stało; żandarm nikogo nie nagabując, postąpił do znanej mu szynkowej szafy, wychylił blaszankę i wyniósł się do licha. Nieoszacowany żandarm!

Cokolwiekbądź, nie pragnąłem mieć powtórnie podobnego spotkania; ubieram się więc i zachęcam gospodarza do najprędszej wycieczki, ale z nim trudniejsza teraz sprawa, tak się bowiem ze mną spoufalił, że nietylko już przeprowadzić do Brodów, ale i wypuścić z szynku nie chce, brzdąkając coś o jutrze: będzie niby służył jutro.

Dziękuję uniżenie — mamże czekać jutra? — I nie pytając, zbliżam się ku drzwiom, lecz on staje naprzeciw. Tego już było za nadto; staram się go przekonać, ale słowa nie skutkują, bo przebrał miarkę i w słabej głowie zaszumiało.

Ponieważ tu nocować, a w dzień wałęsać się po nad granicą nie było moim zamiarem, postanowiłem siłą zawadjaka odepchnąć. Kobiety nie wstrzymają mnie, on pijany, las o kilka kroków, choćby mię więc ta czereda, uzbrojona w miotły, nieco zadrasnęła, zawsze jednak wyjdę, choć nie z zaszczytem, ale bezpiecznie.

Odmalować następującej sceny humorystycznie nie potrafię, gdy wywiedziony z cierpliwości, porywam w obronie za stołek i staję pośród karczemnej gawiedzi — ustąpcie! — wołając.

Nie wiem z jakimby się ukończyła skutkiem ta przygoda, gdyby do drzwi ze dworu nie zastukano. Fury zajechały; mój więc przeciwnik drzwi odmyka, a ja opuszczam oręż. Chłopstwo zaczęło się cisnąć do izby, siła przemagająca; lecz w tem zamięszaniu, dziewczyna z przytomnością sobie wrodzoną, upatrzywszy stosowną chwilkę, przewija się około mnie i za drzwi się wymyka; ja za nią niepostrzeżony, zapomniawszy i o torbeczce z rzeczami; ona przeskakuje przez płot do przyległego ogrodu, następnie zdąża do lasu, ja i tam za nią w pędy; w lesie dopiero stanęliśmy i tu nastąpiła narada.

Zbawczyni moja zrozumieć nie mogła, dla czego mię gospodarz zatrzymywał; tem więcej, że jak mowiła, otrzymał on rozkaz przez zwoszczyka który mię przywiózł, od królowej kontrabandzistów, żeby mi nic złego nie zrobiono. Dopiero się dowiedziałem, że miałem zaszczyt mieć królowe za protektorkę. Nakoniec zuchowata mołodyca ofiaruje mi się sama za przewodniczkę. Leśna ta Dyanna musi znać wszystkie zakręty, krzaki, a nawet i gwiazdy; chętnie więc przystaję. Ale jak się pokazało, Dyannie nie zbywało na chęciach, nie skąpiła trudu, lecz więcej miała dobrej woli, niżeli przezorności.

Nie przewidziała, że przesmyki z jakiemi była obznajomioną pomiędzy bagnami,

o ile były łatwe do przebycia latem, o tyle niepodobne jesienią; zaprowadziła mię więc na takie bezdroża i trzęsawiska, w nocy, wśród słoty, że brnąc przez nie, o małośmy nie zginęli bez wieści oboje. Ona przemokła nieboraczka, nie mając krynoliny, wyglądała jak zwiędły tulipan; mnie rozpacz obejmowała, bo czas upływał, a przebyć granicę było niepodobna.

Wedle jej rady, potrzeba było wrócić do miasta i szukać pomocy doświadczeńszego przemycarza; a choć w tem było nie mało niebezpieczeństwa, jużeśmy się kierowali nazad ku miastowi, gdy w drodze napotykamy znanego jej człeka, który podejmuje się nam przewodniczyć, i z nim razem dochodzimy nad granicę. Tutaj każe nam się zatrzymać, a sam postępuje naprzód, niby na zwiady, i w cieniu drzew niknie.

Lecz coś długo nie powraca; dziewczyna się rozgląda i oznajmia, że poszedł prosto w kierunku, gdzie się znajduje szałas żandarma-strażnika — może wstąpił w gościnę do niego, dodała z widocznym niepokojem; a po chwili namysłu: „Wątpię ja o zdradzie, bo mam pewien wpływ nad nim.“

Słuchaj dziewczę! — zawołałem, nie powątpiewam o potędze twej krasy, ale czy wiesz co mię czeka, jeźli mię pojmają?

Te słowa tak ją wzruszyły, że cofnęła się ze mną natychmiast ku miastu, z zamiarem udania się do jednego z najzaufańszych przyjaciół.

W samej rzeczy, przyszedłszy przed mały, schludny domek, zapukała do okiennicy z pewnemi miarowemi przestankami:

— Gdzie wesele? — spytał z wewnątrz przebudzający się głos na znak dany.

— Na mogiłkach.

Na to dziwne hasło, dopiero nam otworzono i gdy światło zajaśniało, zacząłem się rozpatrywać w komnacie.

Znajdowałem się w obec młodego człowieka, dosyć okrzesanego mieszczanina, który podawszy mi fajkę i po naradzie zażądawszy trzech rubli za przeprowadzenie, oświadczył, że w porze dżdżystej nie mogąc przebyć przesmyków, trzeba doczekać ranka, a skoro żandarmi zbiorą się swych stacji w jeden punkt na linii granicznej, dla spożycia razem śniadania, gdy tem samem kilka luk zostanie od nich oczyszczonych, wtedy przesuniemy się śmiało obok jednej z dróg publicznych. Co do człowieka zostawionego w lesie, wnosił, że choćby ten doniósł o nas strażnikom, to oni do poszukiwań kogoś z tej strony wcale nie są skorzy, w nadziei złowienia go na czatach, z towarami, gdy nazad powracać będzie.

Uwagi te, dosyć prawdopodobne, nieco mię uspokoiły. Doczekując ranka, moja przewodniczka rozmawiała ze swym znajomym, gdy ja, utrudzony drugiej doby bezsennością, zasnąłem głęboko.

IX.

Wrażenia Galicji.

Rankiem się wypogodziło; tylko chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, pędzone wiatrem ku zachodowi, żeglowały jeszcze na błękitnem niebios sklepieniu — a na ten widok i mnie jakoś do serca pogoda wstąpiła.

Okryty starym płaszczem, pożyczonym od kontrabandzisty, z przetakiem w ręku, w gronie mych nowych znajomych i kilkorga dzieci podrostków, zebranych na prędce, wyprawiam się za miasto pod pozorem grzybobrania. Cała gromadka szczęśliwie przeszła ulicę i groblę prowadzącą do rogatki; przy szlabanie pies tylko zaszczekał, strażnik miejski pokazał się z budki, powiedziano mu „dzień-dobry“ i poszliśmy dalej.

Za pół godziny byliśmy już nad granicą. Na skinienie przewodnika zatrzymaliśmy się; on wysunął zwolna głowę z gęstwiny w przerębłę, czy nie zobaczy konia żandarmskiego przed szałasem, ale szałas był pusty — nic słychać nie było oprócz szelestu opadających liści, wstrząsanych jesiennym wiatrem. nic nie widać oprócz drzew, pni. konarów i utkwionego z drugiej strony granicznego słupa.

Pora była sposobna. Po krótkiem a cichem pożegnaniu, kalwakada wróciła nazad, ja zaś z dziewczyną kilkoma skokami wpadliśmy w posiadłości austrjackie.

A więc jestem za granicą! — zawołałem wesoło, gdy ona zaczęła nucić ulubioną sobie śpiewkę. Upewniała naiwnie, że już nie mamy się czego obawiać. Brody są miastem wolnem, komora i straż celna z jegrów złożona, znajdują się z drugiej strony miasta od strony Galicji.

Nie miałem czasu słuchać śpiewaczki. Dobywam czemprędzej mapę Rosji, list pozostały do Kijowa i inne szpargały i notatki i drę wszystko na tysiąc kawałków, puszczając z wiatrem, by nie mieć przy sobie żadnego śladu, że byłem kiedy pod berłem mocarza północy. Postanowiłem nie przyznawać się do tego, choćby mię niewiedzieć jak męczono; z czapki nawet wyrwałem herbowną podszewkę, by mnie nie zdradziła i po takich dopiero ostrożnościach, powędrowaliśmy dalej.

Niezadługo minąwszy lasek, ujrzałem łąkę otoczoną wysmukłemi sosnami wkształcie amfiteatru, a opodal pożądane Brody: jedną więc z ciasnych uliczek weszliśmy do Brodów.

Zmiana dekoracji. Brody, trafnie to miasto tak się zowie, bo bród żydowskich tam pełno. Szwargot, szachrajstwo; żydówki w perłowych bindach, z żółtym kruszcem na szyjach, wyglądające jak żywe wystawki jubilerów; zaszargani faktorzy, sklepy, sklepiki, wszystko oznajmiało, że tu wyłącznie panuje pokolenie izraelskie. Jacyś policjanci, w rozmaitych nowych dla mego oka ubiorach, robią porządek w tej hałastrze; wojsko w białych mundurach, ukazuje się na ulicy. Pewien niepokój zaczyna mię ogarniać — pierwszy raz za granicą, młodemu, niedoświadczonemu, zdało się, że wszyscy na mnie patrzą i że ktoś z tyłu za kołnierz chwyta. Wierna tylko dziewczyna przy mym boku nie odstępuje mię na krok i prowadzi naprzód na kawę, a potem udajemy się do tandeciarzy. Uprzedza wtedy. jako świadoma zwyczajów tamecznych, abym się nie lękał wstąpić do nich, bo ci przemyślni kramarze, przekupują, lub nawet staczają bitwy z policjantami, skoro idzie o przechowanie kogoś z ich klienteli; byle handel szedł.

Żydkowie zapytawszy czy chcę mieć suknie mody paryskiej, czy wiedeńskiej, skoro na ostatnią się zgodziłem, ubrali mię od stóp do głowy; a tak pozbywszy się cechy rosyjskiej, już śmielej poszedłem na bazar, gdzie zakupiłem perkaliki na podarunek dla mej przewodniczki. Następnie zaprowadziła mię ona do swych przyjaciół, poleciła ich sumieniu i dobremu geniuszowi, i opuściła na zawsze.

Patrząc za oddalającą się, żal mi się zrobiło biednej. Znowu ujrzałem się samotnym i bez przyjaciela; nowi kontrabandziści, pomiędzy którymi się znalazłem, nie potrafili zastąpić prostej, cichej, dobrego serca dziewczyny.

Nie mając co robić między nimi, nie potrzebując ich pomocy czynnej, powziąłem tylko niektóre wiadomości i postanowiłem puścić się w dalszą podróż — do Lwowa zdając się na opiekę dobrego geniusza dziewczyny i myśląc, że szczere jej westchienie na mą intencję, może wysłuchane zostanie.

Wydobywszy się zaledwie z pomiędzy bagnetów rosyjskich, teraz, ściganemu losem, wypadało przerżnąć się przez austrjackie — wypadało przebyć wzdłuż całą Galicję, bez zwrócenia na się czujności policji; a była to trudność niepospolita.

Zapaliwszy cygaro, wychodzę z miasta; widzę przed sobą komorę z odwachem, różnobarwne postacie, których rzeczy przetrząsają, różne wózki toczące się tam i nazad, jak zwyczajnie, przy rogatkach. Ja nic nie mając do przetrząsania i deklarowania, jak Bijas filozof uchodzący z ojczyzny, przechodzę na drugą stronę, nic się nie oglądając. Wstępuję do wielkiej austerji przy gościńcu, gdzie rozmowny gospodarz i gospodyni, niemcy, mieli ochotę wejść ze mną w gawędę. Ale przypomniałem sobie hotel wileński w Warszawie, źródło mego nieszczęścia; unikając więc wszelkich rozmów, zasiadłem w sali bilardowej nad kuflem niemieckiego nektaru, bawarskiego piwa i czytam gazety — a dowiedziawszy się co się dzieje w świecie, wychodzę i upatruję przejeżdżających.

Długo wprawdzie czekałem, ale przecież wielkie bryki kupieckie, pokryte białem płótnem, toczą się jak rydwany, od strony Brodów.

— Stój żydku!

— Ny, a co takiego?

— Czy daleko jedziesz?

— Do Lemberga.

Tego się spodziewając, wskoczyłem do jednego z furgonów, który był próżny, i roztasowałem się jak w namiocie.

Jedziemy, popasamy i znowu jedziemy, bo do Lwowa było mil kilkanaście, jednak przebyliśmy je bez przypadku. W pewnej odległości przed stolicą zeskoczyłem z bryki. Nadziawszy świeże rękawiczki, otrzepawszy się z kurzu, zmierzam znowu, sposobem przechadzki, ku rogatce, jednak nie bez pewnego niepokoju. By więc łatwiej się dostać do

miasta, upatruję między przechodniami, do kogoby się przyczepić.

W istocie postrzegam jakąś jejmość, która, trzymając małą panienkę za rękę, szła przedemną. Toby miało, jak raz, pozór familijny dla ciekawych strażników. Zbliżam się więc do tej pani i złożywszy, jak mogłem najuprzejmiejszy ukłon, proszę, aby była łaskawą powiedzieć, jak się nazywa ukazana okolica? Grzecznie odpowiada — ztąd zawiązuje się rozmowa, a gdy się dowiedziała żem koroniarz, obdarza niektóremi pytaniami i tak gwarząc przebyliśmy rogatkę.

Już się zmierzchało, my rozmawiamy jeszcze: szczebiocze mi dowcipnie o teatrze Skarbka, śmiać się muszę, gdy dusza moja płacze na myśl, gdzie ja tu przenocuję? zwłaszcza we Lwowie — punkcie tak niebezpiecznym.

Pod opiekę tej pani zaprosić się była ochota, ale nie było możności i ot, na zaułku, po wzajemnym ukłonie rozchodzimy się, każde w swoją stronę.

Ale gdzie tu teraz moja strona? Gdzie się tu obrócić? Widzę się samotny wśród podobnych mnie istot, i nie wiem, co począć z sobą...

Wnijść do zajazdu, bez ekwipaża, bez żadnych rzeczy, żadnego papieru, ani myśleć, zostać na ulicy à la belle étoile, to za bardzo romansowo, patrol weźmie — to jeszcze gorzej. Biłem się z myślami w tak krytycznem położeniu, ale noc nie czekała; ujrzawszy się żydem tułaczem we własnej ojczyźnie: zacząłem rzęsiście pozdrawiać moskali. Lecz klątwy na nic się nie przydały; koczuję dalej, przechodzę koło jakiegoś więzienia, z górnych okien którego słyszę brzęk łańcuchów. O! lepsza śmierć jak utrata wolności. Uciekam ztamtąd i napadam na bulwary, czy wały.

Na wałach postrzegłem damę idącą około latarni z opuszczonym woalem u kapelusza; i mamże wyznać, że roztargniony, podbiegłem do nieznajomej, ale za zbliżeniem się, nie wiedziałem co jej powiedzieć; oświadczam tedy z niechcenia, że o tak późnej porze, jej wdzięki są wystawione na niebezpieczeństwo — nie wiedząc, czy była stara czy młoda — że jeżeli więc pozwoli sobie towarzyszyć, nazwę się szczęśliwym śmiertelnikiem, i t. d. Dama się odwraca, przyśpiesza kroku, ja ciągle gadam, nalegam, mało dbając za kogo mię poczytać może. Szczęściem, że nie zawołała na policją. Ale zauważywszy, że zakłopotana drugi raz krąży po tym samym bulwarze, jak gdyby w chęci pozbycia się natrętnika, nim wstąpi do swego mieszkania, poczułem wyrzut sumienia z mego postępku. „Wybacz mi pani, rzekłem, i ratuj biednego emigranta, który nie śmie wstąpić do zajazdu, by znaleźć schronienie na noc jedną! — Zechciej łaskawie wnijść ze mną na chwilę do któregokolwiek hotelu, zachowując incognito maskowego balu, by nie poznano, że jestem zupełnie obcym w tem mieście; więcej o nic nie błagam!“

Na te dopiero słowa, lwowianka zwróciła ku mnie oblicze, jakby usiłując peinzrkuąć mię na wskróś; a po chwili milczenia, rozmówiwszy się ze mną z całą łagodnością dobrze wychowanej osoby, łagodnością, którą byłem wielce ukarany za me natręctwo, zaprowadziła mię chętnie do hotelu, z narażeniem się bycia posądzoną najniewinniej, o rendez-vous z młodzikiem.

Jakżebym pragnął, aby niniejsza kartka przyjętą przez nieznajomą została, jako kwiatek mej wdzięczności, niezwiędłej wielu latami czasu!

Przybycie moje do hotelu z poczciwą damą, może rzeczywiście było uważane za rendez-vous osób miejscowych, gdyż po jej oddaleniu się, pozostałem na noc niezameldowany i spocząłem wygodnie z myślami mojemi, dopóki jutrzenka nie zajrzała przez firankę.

Nie czekając dłużej, opuszczam jednonocne schronienie; jestem świadkiem przeglądu wojsk austrjackich, potem poszedłem do kościoła, westchnąłem w cichości; jedna lampa gorzała przed obrazem Zmartwychwstania i jedna myśl, myśl udania się do mej rodziny, utwierdziła się w duszy.

Dopytawszy się o żółkiewskie rogatki, nająłem furmankę i pojechałem do Żółkwi, gdzie zwiedziłem kościół, na ścianach którego cała epopeja wypraw hetmańskich, zachowaną w naturalnej wielkości freskach została.

Długo wpatrywałem się w owe hufce mężnych pancerników, w owe surowe oblicza pradziadów naszych, zdające się przemawiać do odradzających się pokoleń. Nic tak nie budzi młodocianego umysłu z uśpienia, jak historja wyrażona w rzeźbie lub pędzlu, zwłaszcza, gdy ją napotykamy znienacka, wśród uroczystego milczenia świątyni.

Myśl uleciała w wieki przeszłości:

„Kara-Mustafa zasypiał w upojeniu jatagowej potęgi pod murami obleżonego Wiednia i słodko marzył sławę najświetniejszego podboju. Obóz jego błyszczał przepychem, purpurą i bogactwy; straszny obóz, przy którego łunie ognisk lśniało niezliczone mnóstwo złoconych namiotów muzułmańskich, otaczających gród chrześcijański, jakby pasem ognistym. Surmy i cytry odzywały się pośród haremów weselących się turków i tatarów nadzieją pewnego zwycięztwa i łupów.

„W środku stał Wiedeń bezsilny, trawiony morową zarazą, bombardowany z góry, gdy motyki ottomańskie pracowały w podkopach. Napróżno biskupi starali się wzniecić męztwo upadłych na duchu mieszkańców; rozpacz ich obejmowała, dzwon trwogi roznosił smętne dźwięki w krainie niemieckiej, a śmierć zdawała się obejmować ją w swe piszczele.

„Najświętszy Sakrament był wystawiony w kościołach świata całego: ludy błagały Pana Zastępów o odwrócenie okropnej klęski od Europy, gdy zwątpiali wiedeńczycy już tylko w zabobonie, w stadzie bocianów upadających w przelocie na ich dachy, szukali dobrej wróżby i chwilowej otuchy w nieszczęściu.

„Nagle okrzyk radości z krużganków wieży Św. Szczepana rozlega się po nad stolicą, lance z chorągiewkami migocą w dali i polscy husarze, postrach bisurmanów, a na ich czele król, król pełen wiary, miłujący bliźniego i ufny w swą gwiazdę, przybywają na odsiecz obleżonym.

„Na samo imię brzmiące sławą bohatera, robi się alarm i popłoch w obozie Mustafy. Ale bohater otoczony gronem cisnących się pod jego rozkazy sprzymierzonych książąt, wojewodów, rycerzy — nim wstąpi w zawody, pada u stopni ołtarza i z głową pochyloną, rękoma na krzyż złożonemi, modli się gorąco; potem przyjmuje opłatek oczyszczenia, a następnie uzbraja syna swojego, gdy tymczasem kapłan błogosławi zgromadzonym wojownikom. Okrzyk „Niech żyje Jan Sobieski!“ przebiega szeregi, a orły cesarskie chylą się przed niemi.

„Potem widziałem kruszące się o stalną pierś półksiężyce, zajadłość roztrącającą się dziczy, padające turbany, ginących paszów i janczarów.

„Zaćmienie księżyca pogrążyło w ciemności krwawe szranki; niebo przyjęło udział w bitwie pamiętnej.

„Gdy światło niebiańskie zajaśniało znowu, chorągiew z Matką Boską powiewała nad karawan-serajem wielkiego wezyra, a tłumna horda, jak zamieć, pierzchała w ucieczce!

„Nie stałbyś pyszny Wiedniu, gdyby przed stu laty“ — mówiłem sobie siadając do bryczki, która mię zawiozła z Żółkwi o trzy mile dalej, do wsi Ulicka, własności jednego z mych krewnych.

*

* *

Zmuszony jestem wyznać, wierny tym Pamiętnikom, że ś, p. kuzyn mój, do którego przybyłem, jakkolwiek nie był orzeł, ale był to sobie poczciwy obywatel, jakich Polska ma wielu, ze starego, dobrego gniazda. Widywałem go, będąc młodym podlotkiem w szkołach, przyjeżdżającego do Kongresówki w suto wyszywanej czamarze z barankami, z karabelą przy boku, co raziło rosjan oglądających się na niego; lecz teraz zastałem w szlafroku tchórzami podszytym i w czapce zawieruszce.

Nagłe zjawienie się moje, spadnięcie jak z planety i do tego w charakterze uciekającego, zmieszało go bardzo, choć starał się tego nie okazywać; lecz uwagi jego, że mandatariusz mieszka na tym samym dziedzińcu, ciągła obawa w przechowywaniu mię, dały do poznania, żebym tam nie długo przebywał.

Wszelakoż zatrzymałem się na czas jakiś. Wychodziłem na wieś, przysłuchiwałem ludowi ruskiemu, który gdy płacze, śpiewem wyraża swe boleści i utrapienia; miałem sposobność przysłuchania się także i szlachcie dowodzącej, jakkolwiek słabymi argumentami, że łepiejby jej było pod berłem cesarza wszech Rosji. Ci zwolennicy zgubnego panslawizmu, jak tonący brzytwy się chwytając, z jednej ostateczności wpadali w drugą.

Wypocząwszy na łonie rodziny, pewnego poranku, gdym wstał o świcie, znalazłem konie już czekające przed gankiem; otrzymawszy na drogę błogosławieństwo mej ciotki i krzyżyk zawieszony na szyi rączką ma-

łego braciszka Kostusia, pożywiwszy przytem wychudłą sakiewkę, pojechałem z mym krewnym, który mię odprowadził aż do Rzeszowa.

O paszport prosić go nie śmiałem, przewidując, że z trudnością by mu przyszło starać się o niego, ale wdzięczny i za to co uczynił dla mnie, z Rzeszowa ruszyłem dalej, ku Tarnowu. Pożegnanie nasze było tkliwe.

Im więcej posuwałem się ku zachodowi, tem naród piękniejszej rasy zdawało mi się postrzegać: wysmukłe, kształtne budowy ciała; owe nosy zakrzywione, przypominają tam skrzydlatego króla wyniosłych Tatrów.

W Tarnowie zajechałem prosto do oberży; przyniesiono mi na wstępie kartę meldunkową z licznemi rubrykami do zapełnienia, rozpisałem się w nich imionami własnemi i tytułami mego krewnego, i tym sposobem okupiłem noc spokojną. Lecz na drugi dzień wypadło zrobić nowy rachunek rzeczy; do granicy pruskiej zbliżać się potrzeba było. Wydostanie się najprędsze z posiadłości austrjackich uważałem za konieczność; że zaś Galicję od Prus Wisła oddziela, potrzebowałem mówię, porozumieć się z ludźmi, w celu otrzymania jakiego paszportu dla przebycia takowej. Dowiaduję się, że za Tarnowem mieszka książę Sanguszko — trzeba więc złożyć uszanowanie księciu, w nadziei, że nie odmówi dobrej rady.

Zgłaszam się do pałacu, lecz oznajmiają mi, że „jaśnie pan“ wyjechał do Lwowa na jakieś sejmy, formalności, czy obrady, lecz że jego pełnomocnik, pan*** — nie chcę wymieniać jego nazwiska — znajduje się we dworze. Anonsuję się przeto do niego kilkoma na prędce skreślonemi słowy, przedstawiającemi w całem świetle moje położenie, a następnie mam u niego posłuchanie. Oświadczył, że ponieważ wyjeżdża tegoż samego wieczora, mam go oczekiwać w oznaczonym zajeździe w Tarnowie.

O naznaczonej godzinie, udawszy się wedle adresu i nie znalazłszy go tam jeszcze, oczekiwałem w bufecie hotelowym, przerzucając dzienniki. Wkrótce i przybył, lecz przeszedł, jak gdyby mnie nie widział. Może istotnie nie zauważył zatopionego w bibulastych arkuszach; wstaję zatem i idę do jego numeru.

Tutaj pan*** i przy nim ktoś drugi, zaczynają mi przedstawiać, że dziwi ich mocno, słowo d z i w i wymawiając z przyciskiem, iż jeżli jestem tym, kim się być m i a n u j ę, śmiało sobie pozwalam p l ą d r o w a ć po kawiarniach, i t. d.

Dosyć tego panowie! — zawołałem wywiedziony z cierpliwości; nie pomagajcie, ale hańbcie równego wam człowieka! Żegnam panów.

Bolało mię bardzo to ich obejście sie, zwłaszcza, gdy poglądając na świat wyobraźnią nowicjusza, upatrywałem w ludzkości dwie strony towarzyskie: jedną prześladującą, drugą obowiązaną chronić mię od pierwszej. Nie myślałem wtedy, czy miałem prawo wymagania dla siebie ofiar, mogących narazić ojców familii na odpowiedzialność.

Nazajutrz rano, zabrałem się z kupcami jadącymi przez Bochnię do Oświęcima, ostatniego miasta w Galicji nad granicą prusko-austrjacką położonego; ale w drodze pierwsza gwiazda — s z a b a s ó w k a — wschodzi i nasza karawana zajeżdża do najbliższej karczmy. Na drugi dzień, żydkowie jeszcze się modlą w ś m i e r t e l n y c h k o s z u l a c h; co do mnie, nie czując się w usposobieniu słuchania przez całą dobę straszliwego „a d u n a j!“, zjadłszy z cynowego talerza kawałek nadziewanego szczupaka, zakąsiwszy go macą i popiwszy miodem, maszeruję dalej, w braku podwody, na piechotę.

Cóż to za krajobraz? jakaż to świetna panorama roztacza się przed oczyma? To Kalwarja! jak nadobna dziewica wychyla z gór swoje śnieżne czoło, otoczone wieńcami kołyszących się gajów. Odwieczne drzewa, jak dęby starożytnych druidów, pochylają swe gałęzie, szmerem coś gwarząc do siebie, jakby spisek knowały.

Pobożne kompańje, silne jedną wiarą w Chrystusie, przybywają corocznie w te miejsca w licznych orszakach, podobnie jak do Częstochowy, ze wszystkich ościennych kraiu.

Flet pasterski lub kobza, ryk i grzechotka zrzędnej krówki, urozmaicają tę żywą sielankę. Na co szukać Szwajcarji? Usiadłszy przy szosie na trawniku, popatrzyłem po raz pierwszy na tę uroczą naturę. Melancholja jesieni, listki opadające zwolna, chmurki ruchome, wszystko usposabiało do marzeń i pogrążało w dumaniach. Zapomniałem i o podróży, bo nowi moi sąsiedzi: stara przyjaciółka Wisła, której nie miałem już nigdy oglądać, górale karpaccy, Krakus z Wandą, Kościuszko z Jadwigą, tudzież bogata dama Wieliczka, przyszli do mnie w odwiedziny w świątecznych strojach. Zapytałem ich o podania o opryszkach i o ich poezję: odpowiedziano, że dzielne kobiety opryszków okrywały fartuchem brata górala, skazanego na szubienicę, i brały za męża, aby go zbawić od śmierci i uczynić lepszym, co mi się dziwnie podobało. Zwyczaj ten, praktykowany niegdyś, czyliż nie był więcej w duchu chrześcijańskim, aniżeli wszystkie dzisiejsze kodeksa karne, zostawiające tak mało środków do poprawy, najcześciej człowiekowi, którego wina pochodziła w części z fałszywej organizacji społeczeństwa!

Żałowałem, że spodróżowałem Galicję tak szybko, że z jej żywych ksiąg wyczytałem zaledwie tyle, ilebym to zdołał uczynić z Krasickiego naprzykład, przewartowawszy go od deski do deski w przeciągu 24 godzin.

Wziąwszy szczyptę ziemi na pamiątkę, puściłem się w dalszą drogę.

X.

Żyd, nauczyciel ostrożności.

Zawsze musi szkodować, kto się ze złym sprzęże,
Lepiej wleźć między wilki — lepiej między węże.

Blizko już Oświęcim, przechrzczony na A u s c h w i t z, choć nie przyjął obcej wiary. Zdala światełka tam migocą· Oświęcim błyszczy własnem światłem w zmroku; ale przy jego świetle, coś skrzypki i basy tam rzępolą. Byłożby to jakie weselisko?

Jeżli tak, tem lepiej; przypatrzę się choć, jak panna młoda oberka wywija, a może też zaproszą, może i poczęstują — przyszedł mi na myśl głodny student z Krakowiaków i Górali — nie dostawało tylko jego elektryki, żeby za przybybiem cuda pokazywać można.

Zdążam do Oświęcima i widzę się wśród weselących się kmiotków. Nie pomnę, co to była za biesiada. Wchodzę pomiędzy nich, a ujrzawszy jakieś naiwne chłopię, biorę go na stronę i pytam, czyby nie mógł wskazać, gdzie tu można cygar pruskich dostać. Macałem, aby napaść na nitkę Arjadny, którąby mię doprowadziła do kłębka jakiej znowu królowej kontrabandzistów.

Chłopię się wzdraga z odpowiedzią, radzi wreszcie, abym się udał do propinatorki, lecz nic jej nie mówił, że on mi o tem powiedział. Uspokoiwszy go, poznajamiam się z panią propinatorką — dorzeczna to była i z waszecia białogłowa. Nazajutrz powiadam jej, że chcąc się widzieć z pewnym przejeżdżającym kupcem, który powinien był zatrzymać się w Byrunie — pierwszem mieście tuż za granicą w Prusach położonem — znaglony jestem tam się udać, lecz nie mając czasu pisać o paszport do Lwowa, nie wiem jak sobie w tym razie postąpić?

— Jak postąpić? a iść prosto do Byrunia i kwita.

— Ale — zacząłem się jąkać.

— Ztąd każdemu wolno jest iść trzy mile w Prusy, w pasie granicznym, bez paszportu.

— A dalej?

— Dalej, jeżli żandarm pruski zdybie, bo oni się tam włóczą, to i zwróci nazad.

Zwróci tylko, a już kajdanków nie nabiją jak w Rosji — pomyślałem.

— A czyby pani nie była tak dobrą, nastręczyć mi jakiego przewodnika? — przyznam się, że nie znam ani miasta ani granicy.

— Przewodnika? owszem. Ale — czekajno pan. Na co szukać przewodnika? Wszak to dziś niedziela — niedziela dzień cały. Icek w te dni tam chodzi za kupnem siana.

— Icek więc?

— Otóż to; jeżli jeszcze nie poszedł, to można iść z nim razem.

I posłała po Icka.

Rudy, zyzowaty Icek wkrótce przybył.

Powiedziawszy B ó g z a p ł a ć gosposi, skierowałem się z nim ku miastu. Niewielka to mieścina: jeżli kto na jednym końcu kichnie, to na drugim zdrowia mu życzą; przebyliśmy więc je prędko, następnie most jeden na Wiśle, potem wstąpiliśmy na drugi — jeger tylko stojący na środku ostatniego, wybąknął parę słów po niemiecku. Icek mu powiedział, że idziemy za skupnem siana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Julian Piotrowski.

Z drukarni K. Pillera.